

Parytet, czyli jak zamknąć usta kobietom

25 sierpnia 2009

Politycy żyją z oszukiwania ludzi. Cynizm stanowi również główną motywację działalności dziennikarzy i tzw. komentatorów polityki. Co zabawne, jest to zasada uniwersalna, niezależna od ustroju politycznego. Co zabawniejsze, wyborcy i konsumenci wiadomości doskonale zdają sobie z tego sprawę. Co najzabawniejsze, świadomość ta jest powszechniejsza w społeczeństwach żyjących w bardziej skoncentrowanym spektaklu opresji politycznej.

Stąd, dla przykładu, opinia tzw. wolnego świata z dużo większą łatwością przełyka zbrodnie popełniane przez państwa nazywane demokratycznymi – jak USA czy Izrael – niż te, którym do demokratycznego raję daleko (jak Chiny), albo bardzo daleko (jak Korea Północna).

Otóż społeczeństwa państw „wolnych” przekonane są, że prawdziwe zbrodnie to te, o których nie można było mówić – jak swojego czasu o ludobójstwie III Rzeszy czy czystkach i Gułagu w ZSRR – nie zaś te, o których czytamy na pierwszych stronach wolnej prasy. Bowiem już samo napisanie artykułu potępiającego „przypadkowe” zrównanie z ziemią wioski afgańskiej przez lotnictwo US Air Force, czy metodyczne mordowanie cywilów palestyńskich przy pomocy najnowocześniejszych broni przez Izrael, niejako zdejmują z tych czynów odium bestialstwa, które zarezerwowane jest wyłącznie dla reżimów autorytarnych i totalitarnych.

Podobny mechanizm samooszukiwania się „wolnych” społeczeństw widać na niwie emancypującej polityki wewnętrznej. Parytet kobiet jest tu dobrym przykładem. Otóż krytykując jego zasadę jako pewnego rodzaju akcji afirmatywnej, zresztą niezależnie od kontekstu, natychmiast jest się przez zwolenników

demokracji, równouprawnienia i postępu wpisanym na volkslistę wszechpanującego patriarchatu i obskurantyzmu.

Nie inaczej stało się w Polsce, kiedy po zorganizowanym niedawno w Warszawie przez światłe Polki Kongresie Kobiet, żądanie wprowadzenia parytetu dla pań w wyborach do gremiów politycznych stanęło na łamach i falach mainstreamowych mediów.

Zwolenniczki i zwolennicy parytetu argumentują, iż skoro kulturowo i politycznie kobiety są bardziej upośledzone do mężczyzn jeśli chodzi o ich dostęp do stanowisk decydenckich (co jest prawdą), to należy, wzorem minionych „punktów za pochodzenie”, wyrównać im te szanse, rezerwując obligatoryjną pulę stanowisk dla nich przeznaczonych. Ich zdaniem, w tych krajach europejskich, gdzie został on wprowadzony, jakość życia politycznego podniosła się, a co za tym idzie – w domyśle – podniosła się również jakość życia żyjących w nich kobiet. Na marginesie, z ust zwolenniczek i zwolenników parytetu, często określających się mianem feministek i feministów, padają przy tej okazji argumenty o zabarwieniu stricte seksistowskim – że kobiety wprowadzają „innego ducha” do polityki, łagodność, kompromisowość, większą możliwość konsensusu i są w ogóle bardziej „wrażliwe”. Bo polityka przecież – jak nie od dziś wiadomo powszechnie – polega nie na wojnie interesów, czy – broń Boże! – walce klas, ale właśnie na umiejętności prowadzenia dialogu i dogadywania się.

Otóż jest to pogląd błędny, a w przypadku Polski – błędny podwójnie.

Po pierwsze, w krajach, gdzie parytet został uchwalony, nie miało to związku z wprowadzeniem ustawowych zapisów pro-kobiecych, takich jak zliberalizowanie ustawodawstwa antyaborcyjnego, wprowadzenia płatnych urlopów macierzyńskich, zakazu dyskryminacji ze względu na płeć czy bezpłatnej i powszechnie dostępnej sieci żłobków, przedszkoli i szkół. Te prawa, stanowiące o rzeczywistym miejscu kobiet w

społeczeństwie, istniały już wcześniej i bynajmniej nie zostały wprowadzone dzięki obecności parytetowych polityczek w gremiach ustawodawczych.

Po drugie, patrząc od lat 70. (Margaret Thatcher) do dziś (Angela Merkel), obecność kobiet na najważniejszych stanowiskach politycznych w równej mierze przyczyniała się do ich emancypacji (Simone Veil), jak i od niej oddalała (przykładów znacznie więcej).

Po trzecie wreszcie, przykład Polski ostatnich 20 lat zdecydowanie świadczy o tym, iż wszyscy (nie tylko kobiety i feministki), którym zależy na zniesieniu w naszym kraju dyskryminacji, segregacji, nierówności i niesprawiedliwości, powinni zrobić wszystko, aby kobiet w polskiej polityce było jak najmniej.

Dlaczego? Ano dlatego, że przykłady karier politycznych Polek ostatniego dwudziestolecia to niemal bez wyjątku pasmo kompromitacji idei emancypacji kobiet. Pamiętacie bohaterkę podziemia solidarnościowego, nota bene świetną nauczycielkę, Annę Radziwiłł, która tylnymi drzwiami, ewidentnie łamiąc reguły demokracji i Konstytucji wprowadziła jako wiceminister nauki i szkolnictwa w rządzie Mazowieckiego religię do szkół? A premier Hannę Suchocką czy marszałek senatu Alicję Grzeškowiak, tak zasłużone w przyjęciu przez Polskę konkordatu z Watykanem, na mocy którego Kościół katolicki w Polsce może sobie w zasadzie gwizdać na prawo państwowe. A prezes Narodowego Banku Polskiego, Hannę Gronkiewicz-Waltz, nieprzejednaną liberałkę, która pełniąc obecnie funkcję prezydenta Warszawy z lubością podnosi czynsze lokatorom mieszkań komunalnych i oddaje na rzeź spadkobiercom kamieniczników domy zamieszkałe przez całe pokolenia?

A dziesiątki (tak, tak – dziesiątki!) stanowisk ministerialnych i wiele więcej ciut niższych, piastowanych przez ostatnie dwie dekady przez kobiety, które nie zrobiły nic, aby ulżyć innym przedstawicielkom swojej płci? Minister

Kalata, która przekonywała Unię Europejską, że Polacy (i Polki) muszą pracować dużo więcej niż wynosi norma europejska. A ministerki – pełnomocniczki do spraw równego traktowania (m.in. prof. Magdalena Środa), które poza organizowaniem konferencji nie zdobyły się nawet na przeforsowanie projektu liberalizacji ustawy antyaborcyjnej wśród partii, które wysunęły je na to stanowisko?! (O obecnej minister Elżbiecie Radziszewskiej nie ma nawet co wspominać).

A obecne ministerki zdrowia i edukacji, które poza oczywistą niekompetencją, prą niczym tankietki do prywatyzacji szpitali i szkół. Efekt jest taki, że w wojewódzkim szpitalu, obok którego mieszkam, prawdziwym cudem jest spotkanie lekarza-specjalisty po godz. 13, bo wszyscy przenoszą się przyjmować pacjentów do prywatnej kliniki sto metrów dalej. Podobnym niepodobieństwem jest umieszczenie dziecka w publicznym przedszkolu, gdyż, dla przykładu, w mojej dzielnicy są tylko takie dwa, zaś prywatnych, w których chesne miesięczne zaczyna się od 1 tys. złotych tylko na moim osiedlu jest pięć...

A całe chmary ultrakonserwatywnych posłanek i senatorek, ulubienic ojca dyrektora, których jedyną ambicją jest – jak to wciąż słyhać – „utrzymanie kompromisu w sprawie ustawy antyaborcyjnej”, albo jeszcze jej zaostwienie? Co tam ultrakonserwatywnych! Liberalnych i centrowych, jak nowa wicemarszałek Sejmu Ewa Kierzkowska, która również uważa, że „dzisiejszy kompromis w ustawie [antyaborcyjnej – SZ] się sprawdza” [1].

A program Partii Kobiet Manueli Gretkowskiej, która startując do Sejmu nie podejmowała tematu aborcji, żeby „nie dzielić” kobiet...?

A milczenie naszych kobiet-autorytetów moralnych: noblistek, profesorek, artystek i polityczek w sprawie tragicznej sytuacji kobiet-Palestynek pod okupacją izraelską, których zabijanie dzieci mogliśmy codziennie śledzić na ekranach naszych telewizorów i komputerów?

A przekonanie naszych czołowych (tzn. publikowanych w wysokonakładowej prasie) feministek, że to noszone na głowach chusty i zakrywanie twarzy – a nie mordy i gwałty armii okupacyjnych (w tym polskiej) – są największym upokorzeniem dla kobiet na Bliskim Wschodzie?

A Barbara Labuda, minister w kancelarii prezydenta Kwaśniewskiego, która z takim entuzjazmem poparła atak i okupację Iraku, wraz z udziałem w niej Polaków?

Tę wyliczankę można ciągnąć niemal bez końca, co oczywiście nie przekona ani zwolenników ani przeciwników wprowadzenia parytetu do polityki. Nie to zresztą miałem na celu – chciałem po prostu udowodnić, że samo istnienie kobiet w polityce ma się nijak do poziomu życia i zakresu praw kobiet w ogóle.

Wprowadzenie parytetu pozwoli jedynie większej ilości kobiet na otrzymanie wysokopłatnych i prestiżowych stanowisk – i tyle. Dlatego takim niesmakiem napawały mnie relacje z warszawskiego bankietu, zwanego górnolotnie „kongresem kobiet”, na którym w takt muzyki celebrytki Kory płaśały pani eks-prezydentowa Kwaśniewska z paniami prezydentowymi Kaczyńską i Gronkiewicz-Waltz, a dyżurna feministka kraju, pani profesor Środa z kobietą sukcesu Henryką Bochniarz, znaną dobrze z empatycznego stosunku do biednych i pokrzywdzonych...

Stawiam dolary przeciw orzechom, że po wakacjach nikt o tej imprezie nie będzie pamiętać, chyba, że na zasadzie czkawki ukaże się jakiś artykuł w Gazecie Wyborczej, która swoją drogą mogłaby – tak jak to było w przypadku bardzo pożytecznej akcji „Rodzić po ludzku”, czy obecnej „My – narkopolacy” – zainicjować akcję na rzecz złagodzenia koszmarniej ustawy antyaborcyjnej, przez którą (a nie przez brak parytetu) cierpi i umiera tysiące polskich kobiet.

Do takiej akcji – wyobrażam sobie – przyłączyłyby się zapewne wszystkie zwolenniczki i zwolennicy wprowadzenia parytetu, feministki i feminiści, może nawet guru lewicy Włodzimierz

Cimoszewicz, który będąc marszałkiem Sejmu nie dopuścił pod głosowanie projektu ustawy łagodzącej zakaz aborcji ani ustawy o związkach partnerskich, i może mąż Jolanty Kwaśniewskiej, który będąc przez 10 lat prezydentem nie kiwnął w tej sprawie palcem, a w końcu i może większość z nas (ilość podpisów zebrana w latach 90. pod projektem referendum w sprawie liberalizacji aborcji stanowi przecież optymistyczny precedens).

I może wówczas udałoby się przełamać monopol kleru katolickiego na język debaty o aborcji i prawach kobiet, który sparaliżował niemal wszystkie opiniotwórcze środowiska w tym kraju, nazywające barbarzyńską ustawę „kompromisem”.

I aby wreszcie pozostając realistami zażądać niemożliwego – zliberalizowania ustawy antyaborcyjnej w Polsce i zlikwidowania tym samym piekła Polek.

A parytet nie ma tu nic do rzeczy, a jeśli już to może w tym zbożnym celu tylko przeszkodzić – zamknąć usta kobietom mirażem rzekomo zdobytego przywileju.

Autor: Stefan Zgliczyński

Źródło: [„Le Monde diplomatique” nr 8/2009](#)

PRZYPIS

[1] Za: Gazeta Wyborcza, Duży Format, 23 lipca 2009.